Polski Związek Jeździecki

Leon Kon

Aż do roku 1924, w którym po raz pierwszy stanęliśmy na starcie igrzysk olimpijskich, nikt z nas nie orientował się w potrzebach, jakie wyłaniają się przy wstępowaniu w szranki olimpijskie, nikt z nas nie wiedział, że istnieje Międzynarodowy Związek Jeździecki (FEI) i że każdy kraj powinien mieć własny Związek Jeździecki, który ma swoje przedstawicielstwo w FEI. Bez należenia do tej międzynarodowej federacji nie można byłoby uczestniczyć w igrzyskach olimpijskich.

Rtm Leon Kon. Trener jeździectwa, współtwórca Polskiego Związku Jeździeckiego

Nie mieliśmy własnego Związku Jeździeckiego i w 1924 r. reprezentował Polskę w FEI znany działacz olimpijski książę Kazimierz Lubomirski. Nie była to właściwa reprezentacja, zgodna z regulaminem FEI, ale jakoś to uszło, bo i FEI była jeszcze wtedy organizacją młodą, niezupełnie ustabilizowaną. Istniała ona dopiero od roku 1921. Nasz więc udział w paryskich Olimpijskich Igrzyskach Konnych opierał się na przedstawicielstwie jednej osoby, reprezentującej nieistniejący Polski Związek Jeździecki, a my wszyscy, w ten czy inny sposób wciągnięci do czynnego uczestnictwa w igrzyskach, zaczynając od Departamentu Kawalerii, a kończąc na instruktorach i zawodnikach, chodziliśmy w błogiej nieświadomości. Do tego trzeba przyznać się szczerze. Jak więc narodziło się PZJ?

Jednym z bardzo czynnych działaczy w ówczesnych sprawach olimpijskich w kraju i na terenie Paryża, był doktor Stanisław Polakiewicz, późniejszy autor kapitalnej pracy, obejmującej historię olimpiad wraz z paryską. Łączność, a z nią i wielką sympatię dla jeździectwa, dr Polakiewicz nawiązał podczas samej olimpiady. Jako doświadczony działacz sportowy zwrócił on przede wszystkim uwagę na nasze braki organizacyjne: nieistnienie ogólnopolskiego związku zrzeszeń jeździeckich i iluzoryczną unię personalną z FEI. Chcąc nawiązać bliższy kontakt z jeździectwem, dr Polakiewicz przyjechał po zakończeniu olimpiady do Grudziądza, siedziby grupy olimpijskiej przy CWKaw., ażeby u źródła, jak mniemał, rozpocząć usuwanie dotychczasowych niedociągnięć.

Teraz już trudno mi stwierdzić, dlaczego dr Polakiewicz wybrał mnie do prowadzenia rozmów. Może skierowały go do mnie władze CWKaw., a może dlatego, że byłem instruktorem grupy olimpijskiej i jednocześnie sekretarzem generalnym Pomorskiego Towarzystwa Zachęty do Hodowli Koni, a więc maczałem palce w sprawach organizacyjnych. Dość, że doktór zaproponował mi spotkanie w jednej z grudziądzkich restauracji przy kuflu piwa, którego zresztą nigdy nie lubiłem. Słowa doktora zainteresowały mnie i porwały. Zrozumiałem, że nasz sport konny potrzebuje zalegalizowania swego istnienia i zajęcia miejsca pośród innych narodowości nie tylko przez wyczyn, ale i przez współpracę z całym światem konno-sportowym.

Stosując się do rady dr. Polakiewicza zacząłem działać. Sprowadziłem sobie statut FEI z francuskiego związku jeździeckiego. Wzorując się na tym ostatnim opracowałem projekt statutu przyszłego naszego związku. Teraz chodziło o zainteresowanie tą sprawą poszczególnych klubów. Większość z nich była zorganizowana do działalności wyścigowej, więc doroczne posiedzenie Komitetu do spraw Wyścigów Konnych wydawało się najodpowiedniejszym forum dla rozpoczęcia akcji propagandowej. Przewodniczącym Komitetu był wówczas dyrektor Departamentu Chowu Koni, znany hodowca, właściciel stajni wyścigowej i wskrzesiciel hodowli koni pełnej krwi po pierwszej wojnie światowej,

Fryderyk Jurjewicz.

Gdy o nim wspominam, wyrasta mi przed oczyma jego wysoka, nieco zgarbiona postać w czarnym surducie; wysoki, pojedynczy, sztywno nakrochmalony kołnierzyk śnieżnej białości, a nad nim duży, mięsisty, rasowy nos. Był to człowiek wybitnie postępowy, o szerokim światopoglądzie i iście amerykańskim rozmachu oraz realnym podejściu do każdego zagadnienia. Jego wpływy w sferach koniarzy były ogromne.

Byłem wówczas delegatem do Komitetu z ramienia Pomorskiego Towarzystwa. Ułatwiło mi to zreferowanie w cztery oczy dyrektorowi Jurjewiczowi, między innymi, zamiaru założenia PZJ. Dyrektor żywo się tym zainteresował, zgodził się na moje wystąpienie po zakończeniu obrad Komitetu i obiecał poparcie.

Uczestnicy zebrania konstytucyjnego Polskiego Związku Jeździeckiego w dniu 18 II 1928 r. w Warszawie w Oficerskim Kasynie Garnizonowym przy ul. Szucha 23. W środku siedzą: prezes pułk. Z. Brochwicz-Lewiński. dyr. Fryderyk Jurjewicz i gen. S. Sochaczewski. rtm. Leon Kon stoi szósty od prawej.

Mój krótki referat po wyczerpaniu oficjalnego porządku dziennego Komitetu został przyjęty przychylnie. Z zadawanych mi pytań wyłaniał się jednak tylko interes, który z grubsza można było określić tak: jaką pomoc pieniężną będziemy z tego mieli?

Kilka miesięcy później, już w 1927 r., dzięki pomocy dyrektora Jurjewicza i ówczesnego Szefa Departamentu Kawalerii płk. dypl. Zbigniewa Brochwicz-Lewińskiego, w jednej z sal Oficerskiego Kasyna Garnizonowego przy Alei Szucha, odbyło się zebranie konstytucyjne. Obecnych było na nim 23 osoby reprezentujące ok. 15 jednostek jeździeckich.

Zapamiętałem dość oryginalny fragment przemówienia Fryderyka Jurjewicza: „Czym różni się sport konny od sportów lekkoatletycznych ? Jeden wymaga ubrania się, a tamte rozebrania się i stąd różnica w kosztach ich uprawiania, a co za tym idzie i w sposobach wyposażenia w nagrody".

Prezesem PZJ został wybrany płk dypl. Brochwicz-Lewiński, ja zaś - Sekretarzem Generalnym. Siedzibą PZJ został Departament Kawalerii. Mieszkając w Grudziądzu nie mogłem sumiennie pracować

jako sekretarz PZJ i po krótkim czasie zrzekłem się tej funkcji. Wróciłem do niej dopiero w roku 1934, kiedy wyszedłem z wojska na emeryturę i zamieszkałem w Warszawie.

Płk Lewiński pozostał na stanowisku Prezesa PZJ aż do wybuchu wojny w 1939 r., a ja przy nim, jako Sekretarz Generalny.

Po moim zrzeczeniu się funkcji sekretarza pełnił ją jeden z oficerów Dep. Kawalerii, a później, aż do mojego powrotu. Sekretarzem Generalnym był ppłk dypl. Tadeusz Machalski, ja zaś bez przerwy byłem członkiem Zarządu PZJ.

Po raz pierwszy byłem delegowany na Kongres FEI na wiosnę 1928 r. Był to pierwszy udział PZJ w szacie oficjalnej i prawnej. Kongres zasiadał w paryskim Grand Palais podczas odbywania się dorocznych zawodów konnych. Przy stole konferencyjnym siedział obok mnie delegat Niemiec gen. von Holzing-Berstett. Po zakończeniu sesji mój sąsiad pożegnał się zwracając się do mnie po niemiecku. Należy zaznaczyć, że oficjalnym językiem FEI był język francuski. Nie namyślając się, z grzecznym ukłonem, odpowiedziałem mu po polsku: Do widzenia panie generale! Już nigdy więcej generał ten po niemiecku się do mnie nie zwracał.

Drugie spięcie miałem z delegatem Niemiec do FEI mjr. Andreae. Było to również w Paryżu, ale jesienią 1937 r. podczas wspólnego tradycyjnego obiadu członków Kongresu. Następny Kongres miał się odbyć w Warszawie wiosną 1938 r. Przy stole toczyła się rozmowa o przyszłym Kongresie. Mjr Andreae zwrócił się do mniej z zapytaniem, jak daleko jest od granicy niemiecko-polskiej do Warszawy. Odpowiedziałem, że dokładnie w kilometrach nie wiem, ale od granicy do Warszawy jedzie się pociągiem około 7 godzin. Na to Andreae: O, to od naszej granicy Gruba Berta może sięgnąć do Warszawy! Trzeba sobie uświadomić, że na jesieni 1937 r. tak ciężki dowcip był co najmniej nie ma miejscu. Poczułem się jak smagnięty batem i bez namysłu odpaliłem: Od granicy jedzie się do Berlina około 2 godzin, więc do Berlina można sięgnąć szablą! Sąsiedzi przy stole, w większości wcale nie sympatycy Niemców, nie ukrywali swojej aprobaty dla mojej repliki.

Na zaproszenie PZJ wiosenny Kongres FEI 1938 r. odbył się w Warszawie, podczas dorocznych oficjalnych międzynarodowych zawodów konnych w Łazienkach. Przyjęć z tej okazji najczęściej urządzanych przez ambasady tych narodowości, które biorą udział w zawodach, było co niemiara. Członkowie Kongresu byli wszędzie zapraszani, tak że tydzień ich pobytu w Polsce był wypełniony po brzegi. Na zakończenie Kongresu PZJ zorganizował zwiedzanie stadnin w Łańcucie Alfreda hr. Potockiego i w Gumniskach u księcia Romana Sanguszki.